

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Imieniny babuni.

Nadszedł dzień świętej Zofii, dzień piętnasty maja;
Wiosenny ranek ciepłem i blaskiem upaja,
Kwitną bzy i czeremchy, na łące motyle
Probują podlatywać o własnej już sile,
A gdy z kwiatka się porwą, wydają się same,
Jak latające kwiatki. — Przez otwartą bramę

Widać, że się na drodze zółci pinsek czysty,
Jak przed przyjazdem gości. — Cechy uroczystej,
Wszystko jest pełne w domu; dzieci postrojone
Chodzą z rulonikami, patrząc w jedną stronę;
Krząta się ojciec, mama, lecz z ogólnej miny
Łatwo zgadnąć, że dzisiaj czyjeś imieniny,
Jakiejś osoby, co bardzo musi być kochana
I blizka, a zarazem bardzo szanowana.

O tak! zgadnąć nie trudno! Dziś całej rodziny
Święto, dzisiaj babuni drogiej imieniny.
Babuni Zosi. — Prawda, że to śliczne imię?
A tak dobrze, że już się nie obchodzi w zimie,
Lecz w samym środku wiosny, gdy ciepło i ładnie,
Bo nie każda patronka w tym czasie wypadnie! —
Jednej z wnuczek to zdanie, samej także Zosi,
Ale wszyscy je dzielą... Wtem: — Babunia prosi,
Chodźcie, dzieci! — głos słyhać, więc cała gromada
Idzie do jej pokoju, wzruszona i rada,
I każdy, jak kto umie, życzenia swe składa.
Dla babuni to słodkie, lecz i smutne chwile!
Mój Boże! tak niedawno, a lat temu tyle!
Tak samo była wiosna, dzień tej samej świętej,
Ten sam pokój, inne tylko ubrania i sprzęty;
Imieniny babuni także obchodzono,
Winszowało tak samo liczne wnucząt grono.
Zda się ta sama chwila.. Jest różnica mała,
Bo nie jej, ale ona wówczas winszowała!...

W dzień imienin babuni nie dziwcie się dzieci,
Gdy w jej kochanych oczach czasem łza zaświeci.

Marya Balińska.

Z Wystawy Paryskiej.

I.

Przed paru tygodniami nastąpiło otwarcie wielkiej wystawy powszechnej w Paryżu, dokąd przez pół roku zjeżdżać się będą setki tysięcy osób z różnych stron świata.

Już na parę dni przedtem znaczna ilość krajowców z różnych kolonii francuskich nadawała niektórym oddziałom wystawy jakiś oryginalny, nieeuropejski charakter, a pierwszą ofiarą tych przybyszów z za morza o mało co nie padły piękne drzewa na polach Elizejskich, wspaniałej w kilkanaście rzędów alei, łączącej plac Zgody z Łukiem tryumfalnym Gwiazdy, wzniesionym na cześć wielkiej armii Napoleona. A było to tak: kilkunastu Arabów zdążyło z kolei żelaznej do oddziału algierskiego na plac wystawy, gdzie ich miano roznieścić. Nie mogąc trafić, rozlokowali się na nocleg na placu Zgody, wzbudzając pewne zaciekawienie wśród przechodniów. Poczciwi synowie pustyni rozłożyli się, jak się patrzy, narzekając tylko na twardość asfaltu i z kolei rzeczy pomyśleli o posiłku wieczornym. Zapasy i wodę mieli ze sobą, ale chcieli się ogrzać i strawę ugotować, więc musieli rozpalić ogień. Wiadomo, że do ognia trzeba drew, a tych przecie niesposób było z sobą z Sahary przywozić. Zatróskał się stary szejik, bo w takim kamiennem mieście, to ani gałęzi, ani chróstu znaleźć nie można, a do lasu pewnie daleko. A wtem wpadły mu w oko platany i kasztany pół Elizejskich.. Są drzewa, będą drwa! I posłał dwóch młodszych, jakby parobków do lasu, aby zrabali kilka drzew lub przynajmniej nałamali gałęzi.

Dopiero ów atak Arabów na drzewa, stanowiących chlubę i rozkosz Paryżan, zwrócił uwagę policyi, która odprowadziła całą bandę do przeznaczanego im mieszkania.

Nie będę nawet próbował opisywać szczegółowo tej olbrzymiej wystawy, ani zastanawiać się nad jej znaczeniem dla rozwoju nauki, sztuki, przemysłu i handlu, tylko od czasu do czasu postaram się podawać czytelnikom „Wieczorów” opisy niektórych osobliwszych działów lub gmachów, które będą mogły ich zaciekawić, uzupełniając je rycinami.

Obecnie wiele rzeczy jeszcze nie ukończono, dopiero 1-go czerwca wszystko będzie w należyтым porządku, i wtedy rozpocznie się liczniejszy zjazd zwiedzających; największemu opóźnieniu uległy oddziały francuskie, gdy tymczasem oddziały innych państw już są prawie ukończone i przedstawiają się nader okazale.

Do najbardziej udatnych i zajmujących należy bez wątpienia *wieś szwajcarska* (patrz rycinę). Leży ona właściwie poza obrębem wystawy, w głębi pola Marsowego, lecz połączona jest z wystawą mostkiem krytym, który łączy też między sobą dwie wieże, stanowiące bramę wchodową wsi szwajcarskiej. Wieże te, masywne, kwadratowe, stanowią dokładne odtworzenie w zmniejszeniu dwóch dotychczas istniejących najstarszych wież miasta Bernu, sięgających r. 1191, od założyciela miasta, księcia Bertholda z Zearingen. Od drugiej strony wchodzi się do wioski przez bramę w murze, łączącym kwadratową i okrągłą wieżę z zamku Estarayer nad jeziorem Neufchatelskiem, których oryginały zbudowane zostały w r. 1200. Są to więc najstarsze zabudki architektury szwajcarskiej.

Lecz budowniczy, p. Henneberg, postawił sobie za zadanie zgromadzenie w tej sztucznej wiosce okazów architektury szwajcarskiej ze wszystkich czasów i ze wszystkich kantonów, tak, aby zwiedzający mógł jednym rzutem oka wyrobić sobie pojęcie ogólne o wspólnych cechach, o zbiorowym charakterze tej architektury. To było myślą przewodnią założycieli i na tem polega pouczający, a nietylko bawiący, charakter tego przedsięwzięcia. Więc gdy minieiny postawiony na pierwszym miejscu skromny domek, w którym urodził się w Genewie, d. 28 czerwca 1712 roku słynny filozof Jan Jakób Rousseau, spotykamy najpierw domy berneńskie, jedne ostrolukowe z wieżyczkami, drugie późniejsze — w stylu odrodzenia, z rzeźbionymi oknami. Naprzeciwko mamy lepsze, wysokie a wąskie, z kamienia i drzewa, domy z miasteczka Stein, przy wodospadzie Renu położonego.

Na środku placu, do którego prowadzi ulica, znajduje się fontanna ze świętym Jerzym ze średniowiecznego Solothurnu, a naokoło domy i chatki z różnych epok i miejscowości: stary pawilon myśliwski hrabiów Remont, z r. 1531 w kantonie fryburskim, trzypiętrowy szalet z Effretikon w kantonie zuryskim, z różnobarwnymi ozdobami i wysmukłym dachem; chałupa z Mümpf z sosnowym olbrzymim dachem; duży szalet z Wald w dolinie Thoeskiej, z ażurowym balkonem, z galerią ze ślicznych kolumniek; domek Bourg Saint Pierre, w którym, jak głosi tablica pamiątkowa, śniadał pierwszy konsul Bonaparte podczas przeprawy przez górę św. Bernarda d. 1-go maja 1800 r.; biała „Filanda Tiemese,” ze sklepieniami używanymi we włoskiej części Szwajcaryi i t. p.

Dalej idzie grupa najrozmaitszych szaletów drewnianych z Interlaken, Brienz, Rossinières, Meyningen, Wolfenschiessen, z ozdobami wypalanymi żelazem, bardzo ładnymi i ciekawymi; w tych szaletach urządzone wzorowe mleczarnie i fabryki serów szwajcarskich; zresztą w domach albo są różne sklepiki, albo — najczęściej — odtworzone ściśle umeblowanie i urządzenie gospodarstw, właściwe każdemu kantonowi. Wreszcie nad całą wioską panuje ładny typowy kościółek wiejski z leśnej wioski Würzbrunnen pod Thun; wznosi się ośmiokątna dzwonnica, z której rano i wieczorem rozlega się dźwięczna i harmonijna muzyka dzwonów.

Wszystkie te budynki, oprócz wielkiej a prostej sali restauracyjnej, nie są dowolne, lecz ściśle odtworzone za pomocą odlewów z istniejących w rzeczywistości oryginałów; stanowią więc pożyteczny i wiarogodny materiał do zapoznania się z architekturą szwajcarską. Ciekawsze

jednak może jeszcze to, że również wiernie i dokładnie od-
tworzone są góry, na których tle rozściela się przed widzem
wioska. Na długości 630 metrów, dochodząc czasem do
40 metrów wysokości, ciągnie się prawdziwy łańcuch alpejski
w miniaturze z szaletami, pastwiskami, przepaściami,
szczytami, z jeziorem po prawej stronie, odtwarzającym je-
zioro Czterech Kantonów; nad niem stoi domek Wilhelma
Tella. Jeśli wyobrazić sobie, że się patrzy zdaleka, to
złudzenie jest doskonałe; osiągnął je specjalista od „ogro-
dów alpejskich,” budowniczy-pejzażysta, p. Julian Alle-
mand, za pomocą zręcznego zachowania wymagań perspek-
tywy przy obliczaniu rozmiarów każdego najdrobniejszego
przedmiotu. Objasnia on, w jaki to sposób 400 robotników,
pracując przez dwa lata, przeniosło ten kawałek Szwajcaryi
do Paryża; jak trzeba było budować z potężnych sosen
rusztowanie, pokrywać je mocnymi ramami z desek, napeł-
niać te ramy ziemią, zapobiegać jej obsuwaniu się, później
pokrywać odłamami skał, których sprowadzono przeszło
100 wagonów ze Szwajcaryi i murawą, — wreszcie w odpo-
wiednich częściach odlewami ze *stufu*, pewnej kombinacji
gipsu, aż to osiągnęło i wygląd ludzcy i moc odpowiednią.
Na górach tych rosną wszelkie prawdziwe alpejskie drzewa,
rośliny i kwiaty, a poddano je takiemu sztucznemu, długo-
trwałemu przystosowaniu, że będą one kwitły jedne po dru-
gich przez cały czas trwania wystawy.

Wioska szwajcarska byłaby martwą bez mieszkańców-
szwajcarów: many ich też jaknajzupełniej autentycznych.
Wiadomo, że Szwajcarki nie słyną pięknnością, ale za to
bardzo się malowniczo ubierają. Widzimy w domkach, na
ulicach, przy bramach, po górach, czarne słomiane kapelu-
sze z białymi wstążkami jednych, ubrania głowy w kształ-
cie motyli skrzydeł, czarne, przezrocyste i t. p.; białe
koronkowe czepeczki, czerwone haftowane kamizele i t. d.
i tu znów przedstawione są wszystkie kantony całej nie-
mieckiej, włoskiej i francuskiej Szwajcaryi. Co pewien
czas cała gromada wypędza wspaniałe krowy na pastwisko:
idą one, brzęcząc i dzwoniąc, jak w górach, ogromnymi że-
laznami garnkami, przywieszonymi u szyi, a pastuchy, wcho-
dząc na góry, „jodłują” i dają w wielkie drewniane trąby.

Zajmujących tych widoków dopełnia panorama Alp.
Słowem, mamy tu odtworzony krajobraz i najpiękniejsze
budowle szwajcarskie wraz z typami ich mieszkańców.

W. R.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

Wytlomaczono Sabale o co idzie, a baronet kazał na-
pełnić trzecią czarę. Starzec nie dał się długo prosić.
Wychylił ją, i oświadczywszy, że powie baśń o śmierci,
wstał, rozpostarł ręce i zrobiwszy kilka ruchów w powie-
trzu, jakby niemi zakreślał tło do obrazu, zaczął głosem
cichym, matowym, który w miarę opowiadania nabierał
siły, dźwięku i modulacji: iskra schowana pod popiołem
rozżarzała się powoli, ogarniając płomieniem coraz szersze
kręgi. W miarę tego garb niknął, starzec rósł, twarz
młodziła.

— Set raz, prosem pięknie ik Miłości — budarz ¹⁾ na
zarobek do miasta.

Zracno ²⁾ już było, ale ze miał zarzuconom cieślice

i świder bez ramie, toz to, co kroczy, to mu świder o cieślice ¹⁾
zwoni — haj.

Usłyszała zwonienie śmierć, co na Bańkowkach chłopca
brała, i wyskoczyła na droge jako stara baba ku niemu, sto-
warzysowała się s nim i idzie dołu drogami — haj.

Hłop, ze był mądry gazda, poznał zaraz śmierć i my-
śli, jako sie jej pozbyć ma. Nie wiele myślący, kie przysli
tymcase do Białego Donajca, sjon ²⁾ hłop świder z ramienia
i wzion wiertac dziure do wierby, pokiela nie wywierał
a pote zaziera do niej.

— Cego tam patrzysz? — pyta sie go śmierć.

— Kces sie przekonać, to sama zażrej. Tam na dół
widno het prec do światu, a ta mnohenko luda, a staryk
najwięcej — haj.

Wskrobała sie śmierć na wierbe, zażrała do dziury,
ale nie widzi nic. Wlazła cała, coby jej lepiej było nżreć.

Hłop za tela okrzezał cieślicom kołcecek kwardy ³⁾ ze
sęcke, przybiel s nim śmierć we wierbie i poseł — haj.

I dobrze nie barzo, co sie nie robi, roki wielgie lecom,
a hłop zyje i zyje. Ludziska przestali tez umierać i zaja-
zielo ⁴⁾ sie od nik w Zakopanem, w Kościeliskak i na Bań-
kówkak i sedyj ⁵⁾, ze cłek koło cłka stał jako sinreki w hu-
ściawie ⁶⁾ — haj.

Naprzykrzyło sie. prosem piknie ik Miłości, i hłopu
juz żyć tyle casy, bo go bieda pocena bić. Zarobić juz ni-
jakim światu nika nic ni móg.

Jaze se zbacył o śmierzei we wierbie, polaz do Donaj-
ca i odetkał jom z wierby.

Jak śmierć, moi piekni, nie skocy, jak nie łapi kosy,
kie nie zanie kosić!

W Zakopanem, w Kościelisku, w Porominie, w Hoho-
łowie i na Donajcu, to telo sie naraz ludzi wykopyrtło ⁷⁾, co
ik ani wto, ani kany ni miał pohować,

A śmierć se ino dalej kosi i kosi. Jaze zawadziela
kosom o jednym gaździnom; wdowa była, a siedmiorgo sie-
rot u niej w hałupie. Biere jom, a dziecyska w krzyk, co
jaze giełcało ⁸⁾ po halak, tak lamentujom i labidzom ⁹⁾.

— Nie bier nam matki, nie bier matki.

Zlutowała sie śmierć nad dziećmi, posła do Pana
Boga i tak mu pada:

— Panie Boze mój! ja tej wdowy brać ni mogę, bo jej
dzieci tak płacomi i lamentujom; ja sama baba i jaze mi sie
ik luto ¹⁰⁾ stało.

A Pan Bóg jej tak pada:

— Ja ludzi stwarzam, ale ik nie zabieram ze świata.
W tyk rzecak to Paniezus ¹¹⁾ gazda. Idze do Niego i spytaj
sie, jako ma być — haj.

Przychodzi śmierć do Paniezusa i tak Mu pada:

— Panie Jezusicku, jakoz ja mam tom gaździnom brać,
kie je wdowa, siedmiorgo ma dziatka w hałupie, a tak py-
tajom i lamentujom, co jaze mi sie ik luto zrobielo — haj.

Paniezus prask ¹²⁾ śmierztecke.

— Hyhaj—pada jej—i wocymieniu ¹³⁾ przynies małom
skałke z morza.

Skoczyła śmierć wartko i przyniesła okrągłom skałke,
kolwicek ¹⁴⁾ jako hleb.

A Paniezus jej okazał tak:

— Gryż skalke!

Gryzie śmierć, gryzie, zębiska jom bolom, jaze przecie
zgryzła jom i patrzy.

Jaze co sie nie robi, wnuku mały hrobacek siedzi
i rusa sie — haj.

A Paniezus przyskocył do śmierci i prask jom znowu.

— Patrzajze, ja wiem, ka tak małe hrobacki siadu-
jom i zyjom i nie dam im z głodu skapać, a o dzieciak byk
zabacył!

¹⁾ Topór. ²⁾ Zdjął. ³⁾ Twardy. ⁴⁾ Zagęściło. ⁵⁾ Wszędzie.

⁶⁾ Gęstwinie. ⁷⁾ Padło. ⁸⁾ Rozlegało się. ⁹⁾ Narzekają. ¹⁰⁾ Żal się

zrobiło. ¹¹⁾ Sabala dwa te wyrazy łączył w jeden i odmiana.

¹²⁾ Uderzył. ¹³⁾ W okamgnieniu. ¹⁴⁾ Podobną.

¹⁾ Cieśla. ²⁾ Widno.

— Hybaj wartko, bier wdowe!

Zabrała śmierć matkę, ale się dzieci wychowały. Setne hłopakibyły; toż to ik sędej radzi widzieli i dobrze im się powodziło, bo rozum mieli — haj.

Ponieważ Sabała robił częste przestanki, jakby się namyślał lub wątek sobie przypominał, więc malarz tłumaaczył na język niemiecki legendę prawie jednocześnie. Sir Edward nie spuszczał oczów z opowiadającego, a doktor nie spuszczał oczu ze słuchacza. Podczas gdy inni uśmiechali się, rozweseleni treścią opowiadania, nieruchoma twarz Warburtona wyglądała jak zagadka, a palce zanurzone w skręty brody, zaciskały się ruchem nerwowym. Witold, obserwujący także cudzoziemca, pomyślał:

— Muszę narysować tę rękę: jest pełna charakteru. Długie jej, ostro zakończone palce, mają w sobie coś przejmującego.

Gdy Sabała umilkł, ogólne zapanowało milczenie: ogień na chwilę przygasł, a sir Edward spuścił głowę i rzekł:

— Wasz filozof tatrzański umie opowiadać: jego głos potargany i matowy, przeobraża się cudownie pod wpływem zapалу i uczucia i całą gamą tonów rozbrzmiewa. Gesta jego są obrazowe, a twarz ruchliwa, zmienia wyraz w miarę opowiadania; farby na obraz kładzie jaskrawe i maluje grubymi rysami, ale z tego rysunku bije jasne światło. Rad jestem, że go słyszałem; jak góry wasze są niepodobne do innych gór, tak wasze baśnie ludowe inne są, niż u wszystkich ludów. Człowiek jest wszędzie ten sam, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, choć różnymi przemawia językami; ale wszędzie inną ma duszę i inne ideały. Wasza jest jak złoto, które się czyści w ogniu, a wasz ideał — to miłość bliźniego, większa od miłości samego siebie, i niezachwiana wiara w miłosierdzie Boże i sprawiedliwość. Tutaj śmierć nawet ma serce litościwe, a Ojciec niebieski czuwa nad dziećmi, którym dozwolił zabrać matkę. Tę duszę, ten ideał słyszę w baśni Sabały i słyszałem w niejednej pieśni z tych stron, których echo płynęło do mnie przez morza...

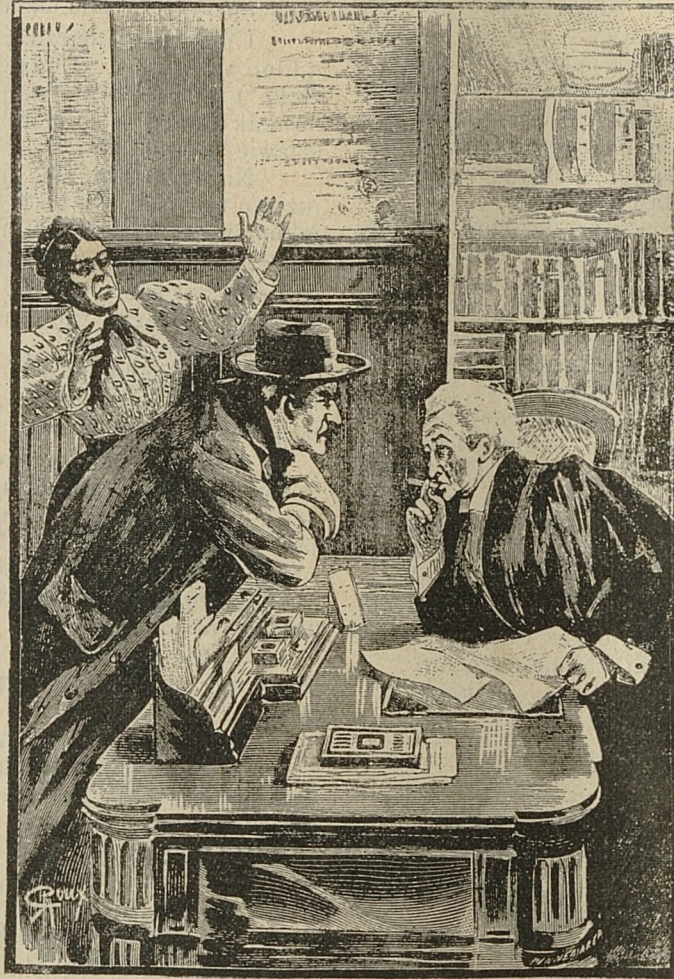
— Baśń tę spisał słynny nasz pisarz Sienkiewicz uderzony jej oryginalnością — wtrącił Witold — ale dla lepszego zrozumienia czytelników, nie znających gwary góralskiej, poopuszczał różne charakterystyczne wyrazy. Znaną jest ona na całym Podhalu.

Warburton mówił dalej:

— Kwiaty poezji kwitną na waszej ziemi, i róż jest wśród nich obfitość, chociaż zaczynam wątpić, czy znajdzie tu różę bez kolców. Znam człowieka, który się urodził na wyspie skalistej, rzuconej samotnie wśród oceanu. Ziemi urodzajnej, tak jak tu pod Tatrami, było tam mało; uprawiano ją przeto w pocie czoła, broniąc przed niszczącymi siłami przyrody: wiatry bowiem północne zwięwały

rodzajniejsze na skałach pokłady, a z zachodu bałwany zalewały łąki i pola uprawne. Drogę wygodnych nie było, bo je zawaływały olbrzymie zwały morenowe. Drożyny wązkie wiodły nad przepaściami i krawędzie skał ostre. Człowiek ów nie chciał kaleczyć rąk, ani w pocie czoła walczyć z deszczem i wiatrem o każdą piędź ziemi; poszedł w świat... znalazł łagodniejszy klimat, lepsze drogi urodzajniejszą ziemię, a los mu sypał złoto pod nogi. Poszczęściło mu się, ale spostrzegł że zgubił w drodze duszę, którą był zabrał z domu. Szuka jej po świecie, jak ja różę bez kolców, i jak ja znaleźć jej nie może... Cierpi on za życia czyściec, który czasami zamienia się w prawdziwe piekło. Złoto, którego pragnął, ma dziś dla niego znaczenie takie samo, jak te oto kamienie!

Do pow. Testament Dalwaka.



Czy wiesz pan kogo masz przed sobą?...

Słuchano tych słów ze zdumieniem. Co znaczyła ta powieść? Kto był ów człowiek o którym mówił — i czy to utwór fantazyi czy rzeczywistość? Pierwszy to raz, on, oszczędny dotąd w słowach, dał się unieść wrażeniu, czy zapalowi. Ogień podsycony świeżą wiązką smereczyny znów większym zajaśniał blaskiem i oświecił twarz baroneta, zawsze nieruchomą, ale bladą jak płótno. Ciszę tę przerwał głos dziecinny, ale poważny, prawie uroczysty:

— Ten człowiek powinien wrócić na wyspę, bo inaczej nie odnajdzie swej zguby!

Sir Edward odwrócił się zdziwiony:

Był to głos chłopca, który znalazł na szczycie Bystrej gwoździak lodowy. Starzec i dziecko patrzyli przez chwilę na siebie, jakby badając się wzajemnie. Baronet lekko brwi zsunął, i nie chcąc snąć wdawać się z dzieckiem w rozmowę, rzekł swobodnie, prawie wesoło:

— Jeżeli nie znajdę w tych górach różę bez kolców, zabiorę przynajmniej z sobą do Anglii wiązkę legend. Hej, Jerry, jeszcze wina!

Walter znający zwykłą wstrzemięźliwość sir Edwarda, wydziwić się nie mógł, że wbrew zwyczajowi pił dzisiaj tak wiele.

Przewodnicy tatrzańscy mają już ustaloną sławę; inteligencją, przytomnością umysłu i roztropnością, przewyższają o wiele swych kolegów z Alp i Pirenejów. Turysta, oddawszy się im w opiekę, nie potrzebuje wcale myśleć o sobie, troszczyć się o nic, bo oni się za niego troszczą, oni myślą o wszystkim. Ponieważ magnat angielski chciał nocować w dolinie, nie czekając rozkazów pobiegli na Smytną do szafasów pasterzy, i wrócili obciążeni dźmi wiązkami siana na posłanie. Szło tylko o to, czy w schronisku nocleg urządzić, czy też gdzieindziej. Miejsca tam nie brakowało, ale była to tylko buda z desek, dobrą dającą we dnie ochronę od zbyt skwarnych promieni słońca; nie mogła jednak dostatecznie zabezpieczyć od nocnego chłodu. Teraz w dolinie Kościeliskiej jest hotel zaopatrzony we wszystkie potrzeby, ale wówczas nie było go jeszcze, a podróżni nasi nie mieli z sobą kołder, tylko derki z wozów,

pledy i jeden płaszcz, własność baroneta, dla którego też, ze względu na jego wiek, należało wynaleźć zaciszniejsze schronienie.

Malarz zaproponował nocleg w Krakowie, w grocie znajdującej się niedaleko wejścia do wąwozu. Długa a wązka, nadawała się wybornie do noclegu — choć przystęp do niej nie łatwy, zwłaszcza po nocy, ale czego nie widzieć przy księżycu, to się dojrzy przy świetle pochodni. Zabrano ich kilka z Zakopanego, bo od czasu jak Pawlikowski odkrył nieznane dotąd groty, rzadko kto wybiera się do Kościelisk bez pochodni. Pytano Sabały o zdanie.

— Hm — rzekł — godne to miejsce dla nik: grotą je głęboka, wiatery nie mąci, ino że do Krakowa czasem zaglądną niedźwiedzie, bo te po turniach Kościeliskich rade chadzają. Blisko im do cieliczek na Smytnią i do owieczek na Kirę.

Powtórzone sir Edwardowi tę uwagę, na co rzekł:

— Nie jesteśmy bez broni na taki wypadek. Mam nóż przy sobie i sześciopalcowy rewolwer.

— Noży znajdzie się więcej — wtrącił doktor.

— Jest skole ¹⁾ — dodał Sabała.

Warburton mówił dalej:

— Niedźwiedź może i do schroniska trafić, a w szerokiej otwartej budzie, trudniejsza obrona niż w grocie z wąskim otworem. Wszystko zatem jedno, gdzie oberzemy sobie nocleg, bo wszędzie spotkać nas mogą niepożądane odwiedzin. W dzień polowanie takie miałyby dla mnie nawet urok nowości, bo w Anglii niema wcale niedźwiedzi, ale w nocy, gdy się pragnie spoczynku, przyznaję że wołałbym, żeby się bez polowania obyło.

I wyjąwszy z kieszeni nóż składany w oprawie z kości słoniowej, przyglądał się ostrzu z uwagą, co widząc Sabała rzekł z flegmą:

— On je grzeczny, bo je tchórz: zdrowego niema co się bać, cheba jak sie nie zabije od razu a postrzeli, a obali, to potem obces skoczy do ciebie.

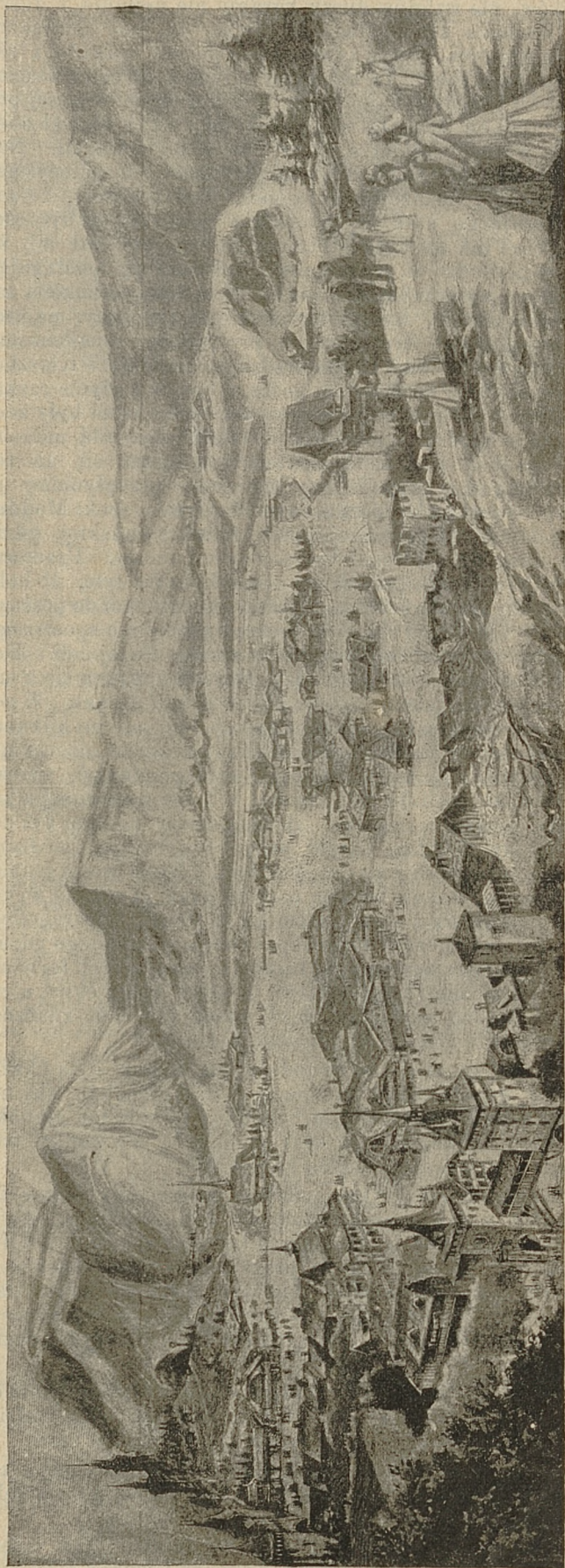
(d. c. n.)

Piąty list Janka Ż do Redakcji Wieczorów.

(Dokończenie).

Napisałem do ojca i wysłałem list pod adresem głównej kwatery generała Bullera, a za ledwie zdążyłem to zrobić, musiałem maszerować razem z innymi jeńcami na zachód. Znakomitszych jeńców wyprawiono do Kapsztadu. że jednak niepodobna przewieźć od razu kilku tysięcy ludzi, więc oddział, do którego włączono mnie i Roberta, skierowano na zachód i zamknięto nas w klasztorze misjonarzy, skąd ten list piszę. Klasztor stoi na wzgórzu, Anglicy zrobili z niego małą forteczkę i strzegą nas jak oka w głowie, żeby który gagatek nie uciekł.

Pokochałem tutejszych ojców misjonarzy za ich dobroć dla biednych Kafirów, których wychowują i nauczają. bo smutnym jest los tych krajowców. Burowie biją się z Anglikami o Transwaal lub Oranię, a ci, do których właściwie należała południowa Afryka, najpierwsi tutejsi mieszkańcy, uchodzą muszą przed najazdem jednych i drugich, krzywdzeni przez obie strony. Otóż kochani alzatcy misjonarze łagodzą te krzywdy, bo sami także wynieść się musieli z własnego kraju, po wojnie francusko-pruskiej. Osiedli w Oranii i wychowują małych Kafirów w religii chrześcijańskiej, a często robią wycieczki do kraju Gryka, żeby tam nauczać ciemną ludność, nie tylko o Bogu, ale także rzemiosł i rolnictwa.



Wieś szwajcarska na wystawie paryzkiej. (str. 146).

¹⁾ Kamień.

Jak mi też było miło po tylu przygodach wysłuchać Mszy Świętej w ubogim tutejszym kościółku! Żołnierz stał we drzwiach, strzegąc byśmy nie uciekli, bo było nas kilku katolików, ale wlotów duszy karabin nie upilnuje, a dusza moja wzniosła się do Boga, ślubując, że jeśli odzyskam ukochanego ojca, służyć zawsze będę dobrej sprawie, z zapomnieniem o sobie. To też kiedy wróciłem do celi z kościoła, Robert poznał z mojej twarzy, że doznałem wielkiej po ciechy, ale i on wyglądał rozpromieniony, choć udawał obojętność w obec żołnierza, który mnie odprowadził. Nareszcie zostaliśmy sami, a wtedy przyjaciel mój położył palec na ustach, nakazując milczenie. Zrozumiałem, że coś nadzwyczajnego stać się musiało w czasie mojej bytności w kościele i tak też było istotnie. Robert pokazał mi, że deska w podłodze da się podnosić, oderwał ją, posługując się hakiem, wyrwanym ze ściany. Tym samym hakiem zaczął kopać ziemię, wysypując gruz pod tapczany, na których sypialiśmy. Zrozumiałem przyjaciela i rzuciłem mu się na szyję, bo i mnie błysła nadzieja ocalenia. Klasztor misyonarzy stoi na wysokiej górze, u jej stóp płynie rzeka, z tej strony nie pilnowano nas wcale, tylko okna były zaopatrzone w bardzo mocne kraty. Jeśli więc uda nam się zrobić podkop pod fundamentem i wydostać się na zewnętrzne wzgórze, dopadniemy do rzeki, przepłyniemy ją wpław, bo jest tylko nieznacznym dopływem rzeki Modder i ukryjemy się na pierwszej lepszej fermie Orańskiej, gdzie każdy zbieg Burski może być pewnym pomocy. Pracowaliśmy w pocie czoła cały dzień, ziemi było już tyle, że baliśmy się, czy nie zwróci uwagi Kafra, danego nam do posługi. Ale zacy Kafra był bardzo niemądry i nic nie spostrzegł. Nazajutrz usłyszeliśmy pukanie w ścianę naszej celi. Domyśliłem się zaraz, że to koledzy Burowie pragną się z nami porozumieć, jakoż istotnie oni to pukali do nas. Z początku nie mogłem odgadnąć czego chcieli, ale po kilkunastu daremnych próbach potrafiliśmy nareszcie rozmawiać. Kafra ułatwiał nam także wymianę korespondencji, wędrowały bileciki z celi do celi, czasem w bułce upieczonej z kukurydzy, czasem w cygarze. A tymczasem podkop był coraz głębszy i końca naszej pracy towarzysze, siedzący w celach oczekiwali z niecierpliwością. Niełatwe to jednak było zadanie, Robert hakiem rozbijał gruz, ja rękami wynosiłem go z dziury i wsypywałem go w worki. Poświęciłem na ten cel pewną część mego zapasowego płóciennego garnituru. W improwizowanej tej torbie, a raczej dwóch torbach, wynosiłem ziemię i wysypywałem ją przez kratę okna, a robiłem to bardzo ostrożnie, żeby spadając z dość znacznej wysokości, nie mogła nas zdradzić hałasem.

Praca trwała dwa tygodnie; im bliższą była chwila ocalenia, tem większy przejmował nas niepokój, aby nie odkryto rozpoczętego dzieła. Podkop był już tak głęboki, że Robert chował się jak kret w norę, a ja z wielką trudnością wydobywałem ziemię na wierzch.

Nagle, o niezwyklej godzinie, zadzwoniły na korytarzu szable wojskowych i wszedł do celi podoficer. Struchlałem, byłem pewny, że odkryto tajemną robotę. Anglik rozejrzał się po celi, lecz nie przyszedł na poszukiwania — tylko dla zapisania naszych nazwisk, gdyż jak powiedział, cudzoziemcy wzięci razem z Burami mają być wypuszczeni na wolność, jeśli dadzą słowo, że nie będą walczyli przeciw Anglikom.

— Mogę więc być wolnym! — pomyślałem — ale co stanie się z Robertem i innymi Burami, którzy całą nadzieję pokładali w podkopie. Nie zawahałem się ani chwili.

— Samuel Burns — odpowiedziałem śmiało, gdy z kolei zapytano mnie o nazwisko, a Robert uściskał moją rękę i odtąd jesteśmy sobie braćmi na śmierć i życie.

Działo się to zaś przed czterema dniami. Tak, cztery dni temu mogłem już opuścić Emmaus i szukać ojca, a ja siedzę jeszcze w mojej celi. Ale podkop skończony. Jutro jest 1 kwietnia, wszystko do ucieczki gotowe. Jeśli szczęście dopisze, wyprawimy Anglikom wyborne Prima Aprilis. Czas dłuży nam się okrutnie, bo przyzwyczaili-

śmy się z Robertem spędzać go przy pracy. Nasi koledzy już są uprzedzeni. O samej północy, kiedy zegar wybił dwunastą, wypadnie dwóch najmocniejszych Burów ze swej celi, zwiążą straż wpraw nim strzelici zdoła i zamkną, a wtedy wydostaniemy się przez podkop po za mury i przepłyniemy rzekę, zanim nowy szyldwach, zmieniając wartę spostrzeże naszą ucieczkę.

Wszystko jest już uplanowane, ci dwaj najmocniejsi potrafili przekupić Kafra, zostawi on drzwi otwarte i ma się starać odwrócić uwagę szyldwach, aby spiskowcy z tyłu zająć go mogli. Nigdy jeszcze nie żyłem w takiej gorączce, jak dziś, rachuję godziny i minuty do północy. Żeby czas zabić, prosiłem Ojca Dominika o papier i piśnię do was, kochani koledzy. Pocziwy zakonnik obiecał odesłać list mój wraz z pocztą klasztorną, a to, co piszę, nie zdradzi nas, bo dla wszystkich pismo polskie jest niezrozumiałe. Napisałem także kilka słów do ojca po angielsku, żeby nie wzbudzić podejrzenia Bullera, pomiędzy wierszami jednak nakreśliłem piórem umaczanym w mleku trzy tylko polskie wyrazy: „Uciekam, Burns, Johannesburg.” Dziwi was może, koledzy, dlaczego użyłem do tego mleka. Otóż jest to sposób tajemniczego udzielania wiadomości, sposobu zaś tego nauczył mnie ojciec. Trzeba tylko mlekiem pisać list potrzymać nad rozżarzonemi węglami, a wystąpią żółtawe ale wyraźne litery. Uwiadomiłem ojca, że w Johannesburgu będzie mógł u pana Burnsa zasięgnąć o mnie wiadomości, bo udam się tam z Robertem, jeśli naturalnie powie nam się ucieczka. W przeciwnym razie, kto wie, co Anglicy zrobią z nami. Ale nie chcę o tem myśleć, kochani koledzy, wolę ufać, że z pomocą Bożą uratować się potrafimy. Jeśli szczęście posłuży, napiszę do was znowu, tymczasem muszę list kończyć, bo o jedenastej obiecał przyjść Ojciec Dominik po pocztę.

Co słyszysz? zegar już bije. Ach jak złowrogo brzmią jego uderzenia w nocnej ciszy... Jeszcze godzina!

Struś.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

— No, nie chcę jechać daleko; ale choćby przeprawić się łodzią na drugi brzeg rzeki — zobaczyć jakie też tam miasto...

— Otóż właśnie, ślicznie byś się urządził! Zapominaś chyba, że ten drugi brzeg rzeki i to miasto należą już do Kanady, a testament zabrania nam najwyraźniej opuścić w czasie gry terytorium Stanów Zjednoczonych.

— Głupstwo! Ktoby tu o tem wiedział!...

— Nie pojmuję cię — rozum straciłeś czy co!... A gdyby się kto dowiedział, żeśmy przeszli granicę, albo gdyby jakiś wypadek nas tam spotkał i nie moglibyśmy się stawić 19-go po depeszę w biurze telegraficznym, i... wszystkoby przepadło... Ale co tu gadać dużo, ja nie chcę się ztąd ruszyć i tobie zabraniam... — zakończyła pani Katarzyna głosem pełnym stanowczości i oburzenia.

I miała zupełną słuszość. Bo czyż ktokolwiek może być pewny, co go czeka w najbliższej nawet przyszłości. Niechby naprzykład nastąpiło trzęsienie ziemi, i między połączonemi dawniej krajami, utworzyła się nagle przepaść niezgłębiona, jakimże wtenczas sposobem dostać się w porę

po odbiór telegramu? Co począć wobec warunków, że nawet krótkie opóźnienie już ma usunąć partnera z gry? I tak gorąco upragnione miliony jużby im nie się dostały.

— Doprawdy, Hermanie, chyba w gorączce jesteś, jeżeli myślisz tak lekceważyć przepisy testamentu — dorzuciła pani Katarzyna na zakończenie swej długiej perory.

Jakby w uznaniu swej winy, mążnek jej siedział dłuższą chwilę potulny i milczący.

— Masz słuszość — rzekł wreszcie — jak zawsze masz słuszość. Widzisz, ja sam siebie nie poznaję teraz. . Od czasu wyjazdu z Chicago jakbym już nie był tym samym co dawniej. To ta przekłeta podróż ogłupiła mnie zupełnie. Już to w moim wieku najlepiej siedzieć cicho w domu... Trzeba było odrazu usunąć się z gry...

— Znowu pleciesz od rzeczy! — zawołała pani Titbury. — Sądzę, że dla sześćdziesięciu milionów dolarów warto każdemu pofatygować się nieco. I co ci się tu za krzywda dzieje? Ze czekasz dni parę, wielka mi rzecz! Przecież każdy człowiek póki żyje, czeka na coś, czegoś się spodziewa...

Dzięki więc stanowczości tej energicznej kobiety, miasto Saint-Stephen na lewym brzegu rzeki Saint-Croix, jako należące do państwa Dominium, czyli Kanady, nie zostało zaszczycone obecnością małżeństwa Titburów.

Możnaby sądzić, że przy takiej przezorności, jakiej dowody dawała pani Katarzyna, bez której zezwolenia mąż jej nie śmiał nic postanowić — trzeci partner zabezpieczony był od wszelkich niefortunnnych wypadków. Ale los lubi czasem płać figle nawet najrozważniejszym, i oto co ich spotkało.

Ponieważ beczynne oczekiwanie tak bardzo przykryło się staremu lichwiarzowi, więc dla skrócenia czasu postanowiło małżeństwo małą wycieczkę za miasto. O, nie kosztowną wcale, przejdą się tylko pieszo po najbliższej okolicy Calais, któremu dostała się ta francuzka nazwa, ze względu, iż swem położeniem przypomina port leżący tak samo na północy Francji, jak również nazwa całego Stanu Maine, nadana mu została przez pierwszych francuzkich osadników, przybyłych tu w czasie panowania Karola I-go angielskiego.

Na wycieczkę tę Titbury wybrali się 14-go maja. Pogoda już się ustaliła i dzień był jeden z piękniejszych. Upewniwszy się poprzednio u oberżysty, że niema niebezpieczeństwa spotkania w tym kraju ani wilków, ani niedźwiedzi lub innych drapieżnych zwierząt, prócz lisa, zresztą dla człowieka nie niebezpiecznego, zaczęła para małżonków podążać brzegiem rzeki do lasu, który choć piękny jeszcze, jest już prawie tylko miniaturą tych, jakie tu dawniejsze znaly pokolenia.

Spacer trwał już ze dwie godziny, południe się zbliżało i upał stawał się wprost przygnębiający, skierowano się więc z powrotem do oberży Sandy-Bar, by zdążyć na śniadanie.

Tymczasem niecznośne pragnienie poczęło im dokuczać. Właśnie przechodzili obok jakiejś karczmy na przedmieściu. Po krótkiej naradzie zgodzili się wstąpić tam dla pokrzepienia się czemkolwiek.

W obszernej izbie karczemnej, przy długim stole siedziało kilku mężczyzn, przeważnie robotników, nad kufkami piwa.

Spoceni, zdyszani siedli Tilbury na uboczu.

— Chętnie wypiłbym portera lub ale — rzekł do żony pan Herman — lecz boję się zaziębienia.

— Oczywiście — potwierdziła pani Katarzyna — zapalenie płuc w takich razach gotowe.

— Więc — rozkazał karczmarzowi, który czekał na rozkazy swych nowych gości — podaj pan dwie szklanki grogu z whisky.

— Grogu z whisky? — zapytał z wielkim zdziwieniem tenże.

— No tak, cóż w tem dziwnego? Czy może zabrakło panu whisky?... (wódki).

— Ale czy masz pan pozwolenie?...

— Pozwolenie, a to na co?... Cóż tu za pozwolenie potrzebne?... — dziwił się gość, nie zastanowiwszy się nad tem, że Maine należy do Stanów, w których zakazany jest wszelki handel alkoholem.

Rzeczywiście bowiem Kansas, Północna i Południowa Dakona, Vermont i New-Hampshire a szczególnie Maine, zabroniły u siebie najsurowiej wyrobu i sprzedaży jakichkolwiek trunków alkoholycznych. Jedyne tylko na lekarstwo lub dla przemysłu można tam nabyć spirytualii w specjalnych biurach urzędowych i to za szczególnem pozwoleniem piśmiennem. Przystąpienie tego prawa, a nawet choćby nieostrożne zażądanie trunku pociąga już za sobą nadzwyczaj surowe kary.

To też zaledwie Titbury skończył rozmowę z karczmarzem, gdy od stołu powstał jeden z ludzi i podchodząc ku podróżnym, zapytał:

— Więc pan niema formalnego pozwolenia?

— Nie, a cóż mnie jakieś pozwolenie obchodzi.

— Zatem oskarżam pana o przestąpienie prawa...

— Jakie przestąpienie prawa?

— Żeś zażądał pan whisky.

Człowiek ten był agentem policyjnym, z urzędu więc swego spisał odrazu akt oskarżenia na obojga państwa Field, uprzedzając ich, iż nazajutrz będą się musieli stawić przed sędzią.

W zły humorze, czyniąc sobie wzajemne wymówki, wróciło małżeństwo do oberży. Widmo opłaty karnej nie dało im spać noc całą; nawet rano nie śmieli się ruszyć ze swego pokoju. Wreszcie otrzymali wezwanie do sądu. Udali się tam, nadrabiając miną, uprzejmi, uniżeni nieledwie.

Ale sędzia był człowiekiem nieugiętej surowości. Tonem ostrym i suchym zadawał pytania mniemanym państwu Field, i po skończonej indagacji ogłosił im wyrok opłaty stu dolarów, jako prawem przepisanej kary za przestąpienie ustawy tak ważnej.

Tego już było za wiele. Chociaż Herman Titbury umiał panować nad sobą, chociaż go żona usiłowała powstrzymać — skąpiec wybuchnął strasznym gniewem, począł się rzucać i grozić sędziemu. Na co tenże z całym spokojem podwoił sumę kary za brak uszanowania względem urzędnika.

Tu już Titbury wpada w złość szaloną. Jakto, on ma płacić dwieście dolarów; dodać jeszcze taki wydatek do kosztów całej podróży do tego podłego Stanu Maine! Nie, nigdy, raczej wszystko stawia na kartę, raczej nawet poświęci korzyści swego incognito.

Skrzyżowawszy ramiona, z pałającymi policzkami przechyla się przez stół i syczącym głosem pyta sędziego:

— Czy wiesz pan kogo masz właściwie przed sobą?...

— Wiem — przerwał sędzia — mam przed sobą człowieka źle wychowanego, którego skazuję za grubiańskie zachowanie się w sądzie, na trzysta dolarów kary.

— Trzysta dolarów, wielki Boże!... — krzyknęła pani Titbury, padając zemdłona na ławę.

— Tak — powtórzył sędzia — trzysta dolarów opłaci zaraz pan Field z Harrisburga, ze Stanu Pensylwanii...

— A więc — zaryczał formalnie Herman Titbury — więc wiedz pan, że ja nie jestem żadnym Fieldem...

— Nie jesteś pan Fieldem; więc kimże? proszę!...

— Hermanem Titbury... z Chicago... z Illinois...

— Zatem osobistością, która pozwoliła sobie podróżować pod fałszywym nazwiskiem! — zawołał sędzia. — Oto jeszcze jedno przestępstwo dodane do poprzednich!...

— Tak, tak.. jestem Titbury.. trzeci partner gry Hypperbona. przyszedł spadkobierca olbrzymiej fortuny!... krzyczał prawie bezprzytomnie skąpiec.

Ale to wyznanie nie podziało wcale na sędziego, który okazał się równie bezwzględny dla trzeciego partnera, jakgdyby miał przed sobą pierwszego lepszego marynarza z portu.

Powoli, każde odważając słowo i tym dobitniejszym je czyniąc, zwrócił się do oskarżonego:

— Zatem będzie to pan Titbury z Chicago, ze Stanu Illinois, który zapłaci 300 dolarów kary za przestąpienie prawa i harde zachowanie się w sądzie, a który nadto za nielegalność, jakiej się dopuścił, stając przed urzędnikiem państwowym pod fałszywym nazwiskiem, odsiedzi tydzień aresztu.

Tego już było za wiele. Obok pani Titbury, którą doprowadził do zemdlenia wyrok opłaty trzystu dolarów, padł teraz ostatecznie zgnębiony jej małżonek.

W głowie jego huczała cała burza, gwałtownie bijące serce rozsadzało mu piersi

— Tydzień aresztu!... Ależ to niepodobieństwo!... To strata wszystkiego, strata nieobliczona!... Wszakże już za trzy dni, za tydzień, jeśli się nie stawi osobiście po odbiór telegramu, wykluczony zostanie z gry... Sześćdziesiąt milionów dolarów! Sześćdziesiąt milionów!... Nie, on chyba tego nie przeżyje!...

Rzeczywiście, było to najgorsze, co mogło go spotkać, bo gdyby nawet nieszczęśliwym rzuceniem kości wysłany został do pięćdziesiątej drugiej przedziałki, czyli do Stanu Missouri z „wizowania” w Saint-Louis, jeszcze by miał przynajmniej nadzieję, iż zostanie zwolniony przez któregoś ze współpartnerów, podczas gdy w prawdziwym więzieniu w Calais, z woli tego okrutnego sędziego odsiedzieć będzie musiał całkowitą karę aż do ostatniej godziny, nie stanie w dniu wskazanym w biurze telegraficznym i straci prawo do dalszej gry.

Podróż reportera.

— Tak jest, panowie!... Grę Hypperbona stawiam w rzędzie najdonioślejszych wypadków narodowych, o których wspominać będzie po wszystkie czasy historia naszego kraju! — Po wojnie o niepodległość — wojnie Secesyjnej, proklamacyi doktryny Munroe, ogłoszeniu bilu Mac Kingleya — wydarzeniem najwyższej wagi pozostanie pomysł, którym członek „Klubu dziwaków” zajął uwagę całego świata!

Tak prawił Harris T. Kymbale do towarzyszków podróży w pociąg, który go w dniu siódmym maja unosił daleko od Chicago.

Reporter „Trybuny” promieniał zadowoleniem. Podniecony, pełen ufności w przyszłość, nie mógł usiedzieć na miejscu. Rozprawiając, gestykulując, biegał po całym wagonie i tak się rozmachał, że obszar jego wydał się mu w końcu zbyt ciasnym i ani sam bodaj zmiarkował, jak przeszedł do sąsiedniego, zskąd znowu do następnych, aż w końcu przebiegł cały pociąg od maszyny do ostatniego wagonu i znowu z powrotem, właśnie gdy tenże pełną siłą pary okrążał południowe wybrzeża jeziora Michiganu.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Od Świtezianki, Wieszczy i Rusałki dla ks. Michała R.

Jestem sobie słoweczko niepozorne, małe,
Ale zamykam w sobie treści głębie całe.
Pojawiam się najczęściej na ustach chorego,
Sieroty i nędzarza lub nieszczęśliwego.
Zajmuje się mną także trybunał wysoki,
Wydając sprawiedliwe w skutek mnie wyroki.
Odrzucił mnie mąż w Biblii znany z cierpliwości,
A wypowiadał prorok w smutku i żałości.
Nakoniec jestem sławnym przydomkiem nazwiska
Męża, co w piśmiennictwie jasną gwiazdą błyska,
A należy do sługi Chrystusa wiernego,
Co słowem karcił błędy narodu swojego.

ARYTMOGRYF.

przez A. Ch.

- 1) 11, 20, 1, 9, 5, 10, 6, 6. Wyspa na m. Północnem.
- 2) 2, 8, 20, 9, 1, 9. Miasto w Szwecyi.
- 3) 1, 11, 5, 21, 13, 1, 5. Jeden z prezydentów Stanów [Zjednoczonych Ameryki.
- 4) 11, 7, 1, 9, 5, 10, 6, 9. Wyspa w Europie.
- 5) 2, 7, 19, 9, 5. Imię 8-iu Papieży.
- 6) 20, 13, 15, 11, 3. Miasto w Bułgarii.
- 7) 17, 9, 1, 4, 20, 16, 11. Posta Polski.
- 8) 14, 4, 5, 10, 13, 3. Miasto we Francyi.
- 9) 4, 18, 5, 9. Wulkan w Europie.
- 10) 7, 9, 10, 13, 3. Miasto gub. w Królestwie Polskiem.
- 11) 5, 13, 7, 14, 4, 12, 11, 9. Państwo w Europie.
- 12) 4, 1, 19, 9. Rzeka w Niemczech.

Początkowe litery utworzonych wyrazów złożyć mają imię współczesnego powieściopisarza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17.

Szurady: Kor — mo — ra — ny.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Jonchim. 2) Uri. 3) Latarnik. 4) Jeryho. 5) Upał. 6) Sosna. 7) Zawój. 8) Serdak. 9) Łuczywo. 10) Olimp. 11) Walkirye. 12) Anadyr. 13) Cherson. 14) Kochanowski. 15) Indyk.
- Juliusz Słowacki, Mikołaj Kopernik.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Imieniny babuni wiersz przez Maryę Balińską (z ryc.) — Z wystawy paryskiej przez W. R. (z ryc.) — Róża bez kołców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Piąty list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Okulary wiersz. (z ryc.) — Pogadanki naukowe. Ciała płynne przez Zofię Kwiatkowską. — Bajka niani. — Towarzyszka Feluni, przez Iżę Moszczeńską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

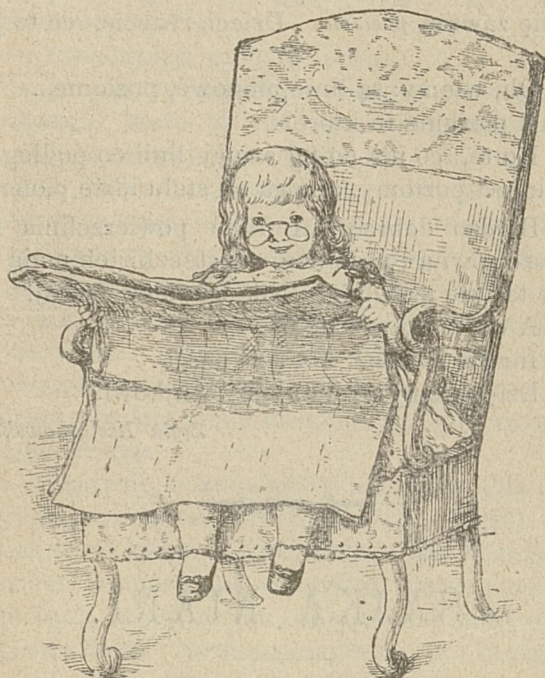
Redaktorka Ludwika Hauke. Доводено Ценаурою. Вapшaвa 23 Aпpѣлa 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Okulary.

Marynia mała,
 Nic nie umiała,
 Nawet chęć jej nie napadła,
 Nauczyć się abecadła;
 To też przy zabawce z matką,
 Czas jej schodził bardzo gładko,
 Ale bez pomocy mamy,
 Strasznie się nudziło samej.
 Otóż, gdy się raz trafiło,
 Że w pokoju pusto było,
 Marynia tak rzekła sobie:
 — Nudzę się, lecz wiem co zrobić,
 Wczoraj że mną i starszą mą siostrzyczką Jadzią
 Powiastkę z „Wieczorów” zaczął czytać dziadzio,
 O „Wieczory” leżą w szafie,
 Wnet do nich trafię,
 Nic nie zawadzi,
 Skończyć bez dziadzi.
 Rzekła, na fotelu siada
 I gazetkę swą rozkłada.

Bierze się do niej z zapalem,
 Lecz nic nie widzi tylko czarne z białem!
 — Co to znaczy? — zawoła,
 Ja nic nie rozumiem zgoła!
 Ah! wiem dla czego... bo dziadzio kładzie
 Na nos dwa szkiełka, co są w szufladzie!
 Więc copredziej chwyta okulary,
 Nie zważa, że są zbyt wielkiej miary,
 Kładzie je na nos, karty przewraca,
 Daremna praca!



Wtem weszła matka i rzecze: Dziecię!
 Co ci się w twojej główce plecie!
 Dziadunio na nos kładzie okulary,
 Bo ma wzrok słaby, spracowany, stary,
 Tyś także słaba, choć niby masz zdrowie,
 Lecz twoja słabość lenistwem się zowie.
 Wy chcielibyście, maleńcy próżniacy,
 Zbierać bez siewu, używać bez pracy,
 Ucz się, kochanie, rzuć lenistwa narów,
 A czytać będziesz i bez okularów.

Pogadanki naukowe.

II.

Ciała płynne.

Janek pamiętał dobrze o obietnicy wujka, który przyrzekł opowiedzieć im o ciałach płynnych i lotnych. To też gdy w kilka dni po owej majówce, na której dzieci bawiły się doskonale, przyszedł wujek Kazio, Janek zaraz na wstępie przypomniał mu o obietnicy. Wujek ucieszył się bardzo, że ostatnia pogawędka zajęła dzieci, usadowił się na ulubionej kanapce i zaczął mówić.

— Zanim powiem wam coś o ciałach płynnych, chciałbym, aby które z was przypomniało mi, co to są ciała stałe?

— Ja powiem, wujku—zawołał pospiesznie Janek.— Ciała stałe są to takie ciała, których cząsteczki przylegają do siebie bardzo silnie i które zachowują zawsze ten sam kształt, chyba, że chcemy go zmienić gwałtownie np. przy łamaniu drzewa.

— Doskonale. No, to teraz mogę wam powiedzieć,

co to są ciała płynne. Otóż są to płyny: a więc: woda, wino, mleko, atrament. Cząsteczki płynów przylegają do siebie bardzo słabo. To też bardzo łatwo je rozdzielić. Płyny nie mają żadnych kształtów określonych. Przyjmują one zawsze kształt naczynia, do którego je wlejemy. A więc woda wlana do karafki, będzie miała kształt karafki, wlana do szklanki, przyjmie kształt szklanki.

O ciałach więc płynnych powiedzieć możemy, że z łatwością ulegają zmianie kształtu. I jeszcze powiem wam o jednej własności płynu: oto powierzchnia jego układa się zawsze *poziomo*. Dzieci, wiecie, co to jest poziomo?

— Oh, wiemy: są linie pionowe, poziome...

— A poziome to które?

— No te, co idą po tej samej linii co podłoga. Np. blat stołu jest poziomy, a noga od stołu idzie pionowo.

— Bardzo dobrze. A więc powierzchnia płynów jest zawsze równa i pozioma; cząsteczki ich mają tę własność, że tak się układają. No, dosyć na dzisiaj!

— A ciała lotne, wujku?

— Innym razem. Na dziś dość!

— Dziękujemy, dziękujemy wujkowi!

Zofia Kwiatkowska.

BAJKA NIANI.

Pewnego zimowego wieczoru, do pokoiku starej niani przyszły dzieci i zaczęły prosić, aby im opowiedziała jaką ładną bajkę.

Niania namyślała się chwilę, poczem rzekła: siadajcie przy kominku i pomóżcie mi łuskać groch, jeszcze dużo mam w koszyku, a opowiem wam historię, którą mi moja nieboszczka babka opowiadała, jak byłam małą dziewczynką.

Dzieci ochoczo zabrały się do roboty i w milczeniu usiadły obok starej nianki.

Ta zaczęła swoją opowieść.

— Dawno, bardzo dawno temu, było dwóch braci, jeden był bogaty, drugi bardzo biedny, bogaty mieszkał w pięknym zamku, biedny w niskiej chatynce. Jednego dnia biednemu umarła żona, zostawiając małą, siedmioletnią córeczkę Lilię. Biedak w tem ciężkiem zmartwieńniu poszedł do bogatego brata, prosząc go o pomoc. Bogacz, choć był bardzo skąpy, ulitował się nad nim i podarował mu krowę. Cóż to była za radość, kiedy przed chatę biedaka przyprowadzono piękną krowę, mała Lili zaczęła skakać dokoła niej i śpiewać z radości, bo dla biedaka, krowa to karmicielka, to majątek wielki. Od tego dnia, dziewczynka zaczęła się opiekować krową, nosiła jej trawę i świeżą wodę. Krowa знаła ją i ryczała radośnie, gdy mała jej opiekunka wchodziła do obórki. Tak minął rok, z krowy dochowano się ślicznego białego cielaczka, którego sąsiedzi zdaleka przychodzili oglądać, Lila z radością pokazywała go każdemu.

Wieść o tym niezwykle pięknym cielątku, doszła do

zamku. Córki bogatego brata chciały go też zobaczyć i przyjechały do chaty biednego wuja. Cielątko było tak prześliczne, że umyśliły go zabrać Lili, ale ta nie chciała go oddać. Rozgniewane, wróciwszy do domu, opowiedziały wszystko ojcu, prosząc, aby im dał to piękne cielątko, bo go koniecznie mieć muszą. Ojciec, posłał zaraz do chaty brata, z rozkazem przysłania mu natychmiast owego cielątka. Ten odpowiedział, że ponieważ krowa jest jego, więc i cielę do niego należy.

Rozgniewany bogacz pozwał go do sądu. Wojewoda wysłuchawszy skarg obu braci, rzekł: Jeden z was mówi: że darował drugiemu krowę, ale bez cielątka, drugi znów twierdzi, że jeżeli jego jest krowa, do niego także powinno należeć cielę; trudno mi was rozsądzić, bo każdy z was ma trochę racji, trzeba więc abyśmy się zdali na los. Otóż zadam wam trzy zagadki, który z was odgadnie, ten cielę zatrzyma. Najpierw spytam was się, co jest na świecie najprędsze?

Wojewoda pozwolił się braciom namysleć, przez noc, a rano mieli mu dać odpowiedź. Biedny, wrócił do domu bardzo smutny, nie wiedział jaką odpowiedź dać wojewodzie. Lila pocieszała go, i powiedziała, jak ma odpowiedzieć.

Kiedy bracia stanęli przed wojewodą, ten spytał najpierw bogacza:

— Cóż jest najszybsze?

Na to ten mu odpowiedział, że ma konia tak ścigłego, że nikt go dogonić nie może.

Wojewoda rozśmiał się i spytał drugiego brata:

— A ty co mi powiesz, co na świecie jest prędsze od biegu konia?

— Myśl ludzka — odparł tamten.

(d. n.)

Towarzyszka Feluni

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Izba, którą zamieszkiwali Józefowie, miała dzisiaj dziwnie wesoły i świąteczny pozór, ale jednak jakże tam było ubogo! Podłoga była wprawdzie czystutko wymyta, ściany bielutkie, stół świeżo wypraną serwetą nakryty, a od pieca rozchodziło się miłe ciepło, ale ubóstwo sprzętów zauważyła nawet Felcia, która jednak często do chat zaglądała. Nie było tam tej obfitości pierzyn i poduszek, która ją uderzała w mieszkaniach parobków wiejskich, ani tyle obrazów świętych na ścianach. Dwa łóżka i kołyska tak skąpo zasłane, że pytała siebie, gdzie ci wszyscy ludzie spać, czem się na noc przykrywać mogą. Przytem izdebka była malutka a małe tuż nad brukiem ulicy umieszczone okienko, tylko bardzo niewiele światła dopuszczało do wnętrza. Nie pojmowała teraz, jak mogła Józefowa w tej ciemnicy cerowaniem się zajmować, ale zrozumiała doskonale, dlaczego miała zawsze czerwone oczy, i dla-

czego je ciągle mrużyła. Szczupłość miejsca nie przeszkadzała jednak dzieciom bawić się w chowanego, a zabawce tej głośne śmiechy i żarty towarzyszyły. Najmłodsze niemowlę trzymała Józefowa na ręku, uszczęśliwiona widocznie, że choć na jeden dzień igłę odłożyła mogła i popieścić maleństwo, ogromnie piastowania spragnione.

Józef przyglądał się zabawie swych dzieci, a chwilami brał trzyletniego chłopczyka, który na jego kolanie jak na koniu siadał i wołał: „Tata oli hop, hop!”

Felunię to wszystko bardzo bawiło, ale po pewnym czasie w suterynie wydało jej się trochę ciasno i duszno i poprosiła nianię, żeby ją napowrót na górę odprowadziła.

Minęły dnie świąteczne, mieszkańcy suteryny na nowo powrócili do pracy i Marynia znowu swą przyjaciółkę z pierwszego piętra odwiedzać zaczęła. Obie dziewczynki z dniem każdym coraz się więcej lubiły, przywykły bawić się ze sobą, a córeczka Józefowej tak była grzeczna, posłuszna i rozsądna, że wszyscy domowi bardzo chętnie ją widywali, a pani Solimowska zaczęła nawet przywiązywać się do niej.

— Czy ty się uczysz czytać? — spytała raz Felunia towarzyszkę.

— Nie, nie uczę się — odpowiedziała Marynia.

— Tak? to dziwne. Jak będę miała sześć lat, to się zacznę uczyć. Tak mama mówiła. A czemu ciebie twoja mama nie uczy?

— Moja mama sama nie umie, a choćby umiała, to niema czasu mnie uczyć. Musi szyć, pracować, gotować.

— A twój ojciec, a bracia, czy i oni nie umieją czytać?

— Ojciec umie, umie nawet pisać; bracia starsi też się nauczyli. Antoś to się prędko nauczył i teraz dlatego już może trochę roznoszeniem gazet zarobić. Stasiowi szło trochę ciężko, ale on teraz chodzi do szkoły niedzielnej po nabożeństwie.

— Jakto? uczy się w niedzielę?

— Jak w inny dzień niema czasu, to cóż robić?

— A ty chciałabyś się uczyć?

— O! i bardzo, ja tak lubię bajki. Antoś czasem w niedzielę takie ładne bajki czyta, a ja słucham.

— Wiesz co, powiem mamie, to się będziemy za rok uczyli razem.

— Eh! za rok, kto wie, gdzie tam która z nas będzie, Felunia prędzej jeszcze niż za rok na wieś powróci.

— Ja nie wiem, czy wrócę na wieś; muszę się mamy zapytać. A ty przecież tu będziesz?

— Nie wiem. Mama mówiła, że mieszkanie mamy za drogie, że komorne ciężko płacić, może się gdzieindziej wyprowadzimy.

— Szkoda!

Felunia zamyśliła się. Dotychczas nie przyszło jej jeszcze do głowy, że i z tą towarzyszką rozstać się będzie musiała, i znowu samą — zupełnie samą pozostanie. Myśl ta była jej nadzwyczaj przykrą. Przy pierwszej sposobności zagadnęła swą mamę:

— Czy my wrócimy na wieś, mamó?

— Tak, a czy chciałabyś wrócić?

— Nie — i po chwili namysłu. — Tak, ale czy Marynia pojedzie z nami?

— Marynia? nie. Zostanie u swoich rodziców. Nie myślałam o tem, żeby zabrać Marynię.

— Mamo kochana — zawołała Felunia składając rączki błagalnie — weźmy Marynię ze sobą! Ona taka grzeczna, taka miłutka, a mnie tak smutno będzie samej! Mama znowu będzie miała dwie córeczki. Będziemy się razem bawiły, razem uczyły, będziemy obie takie grzeczniutki, tylko niech ja samą nie będę.

I zaczęła tak ścisnąć, całować, pieścić swoją matkę, tak błagalnie jej w oczy patrzeć, że pani Solimowska nie chcąc jej robić przykrości, nie mogła wprost odmownie odpowiedzieć i rzekła:

— Zobaczmy; pomyślę o tem.

Zdaje się, że projekcik Felci i jej także trafił do przekonania. Może sądziła, że opieka nad tą biedną i pocziwą dziewczynką będzie dla niej też niejakiem w smutku ukojeniem, może i ją także przerażała myśl powrotu do pustego domu, może straciwszy jedno dziecko, dla drugiego zbyt słabą już teraz była, dość, że po kilku godzinach myśl Feluni przedstawiła swej matce.

— Kto wie, czy nie byłoby dobrze wziąć tę maleńką na wychowanie. Józefowie tak biedni i tyle mają dzieci, że niewątpliwie wdzięczni mi będą za to, a i Felunia szczęśliwsza będzie miała dzieciństwo, gdy zupełną jedynaczką nie będzie.

— Zapewne — zauważyła babcia. — Dla tych ludzi byłoby to prawdziwe dobrodziejstwo. Ciężko im zapracować na wyżywienie i wychowanie tak licznej gromadki. Dzieci w miarę jak wyrastają, coraz więcej kosztować ich będą, a jej biedne i stare oczy pewno niedługo posługi odmówią. Strasznie zapracowana biedaczka.

— To dziewczątko wydaje mi się bardzo miłe — mówiła dalej pani Solimowska. — Felunia już się do niej przywiązała a i ja czuję, że ją szczerze pokocham. Naturalnie wychowywałabym ją tak, jak swoją własną. Nie mogę się jednak decydować bez pozwolenia męża.

(d. c. n.)

METAGRAM.

Na wprost, to wynalazek nader ważny w świecie,
Na wspak zaś rozbójnicze dzikich plemion dziecię.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

W kwadracie o sześciu przedziałkach ułożyć wyrazy sześciogłoskowe, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę dopływu Wisły. Znaczenie wyrazów: 1) Dopływ Dniepru. 2) Miasto port. w gub. Kurlandzkiej. 3) Morze w Europie. 4) Krzew ze smaczniemi jagodami. 5) Państwo w Europie. 9) Zagłębienie morza zachodzące w ląd. Sylaby: Ba—ba—cy—ka—li—li—ma—na—niem—pry—wa—tyk—peć—po—to—za.

Łamigłówki w wiatraczku:

1) Kalina. 2) Topoia. 3) Cebula. 4) Salata.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 17.

Łamigłówni kropkowanej:

Śpij dziecino, śpij maleńka,
Luli lalko luli...
Niech cię do snu ma piosenka,
Czemprędzę utuli.
Na zabawy, na pieszczoty
Mama niema czasu,
Musi zasiaść do roboty,
W ciszy bez hałasu.
Ale pierwej swoje małe
Dzieciatko utuli,
I w łóżeczko złoży białe,
Luli lalko luli.

J. Chrząszczewska.



Skrzynka do listów.

Rozsyłanie na prowincję nagród z konkursu kaligrafii już rozpoczęliśmy. Osoby, mieszkające w Warszawie, prosimy uprzedzić o zgłoszenie się do Redakcji dla wyboru książeczek.

Pani Leonii K. Przysłane marki wyniosły rub. 1 kop. 80, imiona dzieci wpisane będą na liście jubileuszowej.

Pani Cyb. „Księga rzeczy polskich” Glogera oprawna w płótno angielskie, wraz z przesyłką pocztową wyniosła rub 1 kop. 15 wysłaliśmy ją za taką zaliczką.

Pani Dyn. Żadaną książkę wysłaliśmy, za zmianę adresu i posyłkę należy się nam 15 kop.

Bolesławowi. Łamigłówni bez objaśnienia i rozwiązania przyjęta być nie może.

Pani E. Mik. „I ja już czytam” M. Weryho kosztuje 75 kop., a dwie drugie książeczki po kilka kop. Poleciliśmy więc księgarzowi wysłać je Sz. Pani za zaliczeniem.

Dobre rozwiązania zadań i zadania własnego układu nadesłali: **Gucia M. z Kutna**, **Dzwonek leśny**, **Stefan Liedt.**, **Marzycielka**, **Wanda i Zygmunt L.**, **Stefan z Wroniej**, **Jerzy co w Burów wierzy**. Artysta z nad **K.**, **Laszka**, **Gaduła**, **Lilijka z ul. Foksał**, **Gustawa Dobr.**, **Taduk**, **Nadzieja**, **Bazgracz z nad Dźwiny**, **Jadwisia M.**, **Iskierka** (rozwiązanie metagramu podała w zgrabnym wierszyku) **Dzięcioł**, **Czarnuszka i Bielasek**.

Kilku dziewczynkom, mieszkającym w pewnym mieście nad rzeką Szcz., musimy zrobić parę uwag. **Helenka Kulik** żyje podobno w wielkiej przyjaźni z lenuszką, a to przyjaciel wcale nie dobry, tylko do złego namawia; **Emilcia How.** ma zwyczaj patrzenia z „podełba” i wykrzykiwania twarzy, wąpimy, czy jej to sprawia przyjemność, ale, że nie upiększa — to pewna; **Henrysia Szym.** znowu opuszczać lubi Mszę Św. i wykład katechizmu, a prztem podobno często bywa nieposłuszną, są to już poważne przewinienia, z których mamy nadzieję, że **Henrysia** prędko się poprawi. O **Polusi Lew.** z przyjemnością zaznaczamy, że jest pilną, dobrą i grzeczną. **Zosia Jod.** dostała nagrodę za kaligrafię, bo ładnie pisze, ale trzeba nauczyć się pisać nie tylko ładnie, lecz i poprawnie.

List twój miła **Świtezianko** przypadkowo parę tygodni leżał w Redakcji i dlatego czekałaś dość długo na odpowiedź, za co cię stokrotnie przepraszam. Czy siostrzyczka twoja zadowolona z wyniku konkursu kaligraficznego? Konkurs na roboty ogłosimy w czerwcu. Ja nie jestem panią L. H. Chciałabym mieć nowe wiadomości od was.

Jrence M. z Mańkowa. Pojmuję najzupełniej, kochana **Irenko**, że mając cały dzień zajęty i rozłożony na godziny, trudno ci znaleźć wolną chwilę do napisania listu. Tem więcej jestem ci wdzięczną, że czas przeznaczony na zabawę użyłaś na pisanie tak miłego listu, za który dziękuję i twej pamięci się polecam nadal.

Takie przyjemne i zajmujące gadulstwo, jak twoje **Zielona Żabko**, nie może nigdy znudzić, a tembardziej mnie, lubiącej niezmierznie otrzymywać coraz to nowe wieści od kochanych moich korespondentów. Co do „**Pawełka**” nie mogę ci dać żadnego wyjaśnienia. **Pierniczka i Rumiane Jabłuszko** uściśnij ode mnie, a rodzicom i cioci podziękuj za pamięć.

Życzenie **Pokrzywy** spełnione, jak widzisz piąty list **Janka Ż.** już wydrukowany.

Chętnie zaliczać będę **Litawora** do grona moich korespondentów, lecz zbliżające się egzamina nie pozwolą ci na częste pisanie listów, może jednak podczas dni świątecznych, dość licznych w maju i czerwcu, znajdziesz godzinę do pogawędki listowej i doniesiesz o swym zdrowiu i postępach w naukach.

Pseudonym **Młodej Czytelniczki** wybrałaś bardzo dobrze i stosownie. Pomimo pilnej korekty zdarza się niekiedy pomyłka w nazwiskach, wypływająca najczęściej (jak i w pierwszej odpowiedzi dla ciebie) z przestawienia liter. Obietnicy częstego pisywania bardzo jestem rada i mam nadzieję, że jej dotrzymasz.

Mewie z nad Noteci. Pieniądze wasze Redakcja odebrała, imiona będą wpisane na liście jubileuszowej. Wyobrażam sobie, jak jesteście radzi z posiadania własnych koników do jazdy wierzchem i życzę wam wiele przyjemności z tej milej i zdrowej rozrywki.

Na krótkie listy, przeważnie z rozwiązaniem szarad i łamigłówek od: **Gaduły**, **Mimi**, **Przepiórki**, **Dzięcioła**, **Białego Kruka**, **Cesi Olesz.**, **Iskierki i Nadziei** nie odpisuję osobno dla braku miejsca, lecz każdemu z osobna dziękuję za parę słów zwróconych do mnie, ale jeżeli kto z nich napisze kiedy obszerniej to i ja z dłuższą odpowiedzią pospieszę.

Guci M. z Kutna powinszować można dobrej cenzury, same piątki, z jedną tylko przypadkiem zabłąkaną czwórką. Każę się spodziewać nagrody, której ci też życzę serdecznie; gdy ją dostaniesz, donieś mi proszę zaraz.

Przedostatni list **Czarnuszki i Bielaska** musiał zaginąć, jeżeliście na niego odpowiedzi nie otrzymali, a pamiętam, że już dość dawno nie miałam od was żadnej wiadomości. Święta przeszły mi dość wesoło, mazurki dobrze się udały i smaczne były, Teatr bardzo lubię, ale daczego zapytujesz mnie o to?

Kazicie za kartkę serdecznie dziękuję, dlaczego nie wspominasz, czyś list mój otrzymała? Nieznana-nieznanej śię pozdrowienia w dalekie strony.

Jedynaczce radzę historię **Tatomira** (1r. 50 k.) albo **Lewickiego** (2 rub.) są to już obszerniejsze kursa. Zwykle mówią „obsadka,” ale dopiero nowy słownik języka polskiego rozstrzygnie stanowczo tę kwestię. Aż dwie **Świtezianki** pisują do mnie. Czy święta spędziłaś u wujostwa, jak pragnęłaś? Donieś mi o tem.

Miejsce na lato, o jakim wspomina **Kwiat Paproci** najlepiej wyszukać przez znajomych, aby do znajomego wyjechać domu. Z chęcią bym ci pomogła, ale nie mam tak wiele stosunków; czasem tylko zwracają się z tem do nas. Droga ogłoszeń lub kantorów nie jest, jak sądzę, dla ciebie odpowiednią.

I ja należałam do grona sędziów konkursu kaligrafii, przyznając, że byłam najpobłażliwszym sędzią i chciałam jeszcze więcej niż 110 udzielić nagród, ale inni sędziowie mnie przegłosowali. Niech ci, co otrzymali tylko wzmianki zaszczytne, nie martwią się jednak, bo mogą na rok przysłać pismo swoje wykształcić i będą mieli inne jeszcze konkursy. Zauważyłam prztem, że charakter i kształtność pisma u rodzeństwa bywają zwykle bardzo podobne.

Wasza *Jaskółka*

